

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Aleksander Puszkın**

# **DAMA PIKOWA**

*Dama pikowa oznacza skrytą niezyczliwość*  
Najnowsza księga wróżb

Copyright by **Tower Press**

Wydawnictwo „Tower Press”  
Gdańsk 2001

# 1

Zasiedli stołem:  
Każdy nad stołem  
Wsparty,  
A każdy w wiście  
Bił zamazyście  
Karty.  
I tylko czasem  
Przerwą z hałasem  
Ciszę:  
Każdy na desce  
Kredą po kresce  
Pisze.

Pewnego razu u oficera gwardii konnej Narumowa grano w karty. Długa zimowa noc minęła niepostrzeżenie; do kolacji siedli o piątej nad ranem. Ci, którzy wygrali, jedli z wielkim apetytem; inni siedzieli w posepnym roztargnieniu nad pustymi talerzami. Ale zjawił się szampan – rozmowa się ożywiła i wszyscy wzięli w niej udział.

– Jak ci poszło, Surin? – zapytał gospodarz.

– Przegrałem, swoim zwyczajem. Trzeba przyznać, że nie mam szczęścia. Gram prostą, nigdy się nie gorączkuje, nic mnie nie zdoła zbić z tropu, a jednak wciąż przegrywam.

– I nigdy nie uległeś pokusie? Nigdy nie postawiłeś na *routé*? Podziwiam twoją siłę woli.

– A co powiecie o Hermanie? – odezwał się jeden z gości wskazując młodego inżyniera. – Nigdy nie wziął kart do rąk, nigdy nie zagiął parolu, a jednak do piątej rano siedzi i przygląda się naszej grze.

– Gra bardzo mnie interesuje – rzekł Herman – ale nie mogę poświęcić tego, co niezbędne, w nadziei zdobycia tego, co zbyteczne.

– Herman to Niemiec: jest wyrachowany, w tym rzecz! – stwierdził Tomski. – Nie rozumiem natomiast jednej tylko osoby na świecie – mojej babki, hrabiny Anny Fiedotowny.

– Jak to? – zawołali goście.

– Nie pojmuję – ciągnął Tomski – dlaczego moja babka nie poniteruje.

– A cóż w tym dziwnego – rzekł Narumow – że osiemdziesięcioletnia staruszka nie poniteruje?

– Więc nic o niej, panowie, nie wiecie?

– Nie, doprawdy nie wiemy.

– No, to posłuchajcie. Musicie wiedzieć, że moja babka jakieś sześćdziesiąt lat temu jeździła do Paryża i była tam bardzo w modzie. Uganiały się za nią tłumy, aby zobaczyć *la Vénus moscovite*; <sup>1</sup> sam Richelieu ubiegał się o jej względy, a babka zapewnia, że niewiele brakowało, aby się zastrzelił przez jej okrucieństwo.

W tych czasach damy grywały w faraona. Pewnego razu babka na dworze królewskim przegrała do księcia Orleańskiego jakąś dużą sumę na słowo honoru. Po przyjeździe do domu

---

<sup>1</sup> moskiewską Wenus.

babka odlepiając muszki z twarzy i rozluźniając rogówkę oznajmiła dziadkowi o przegranej i kazała, by zapłacił dług.

Nieboszczyk dziadek, jak sobie przypominam, był u babki czymś w rodzaju ochmistrza. Bał się jej jak ognia, mimo to jednak, gdy usłyszał o tak straszliwej przegranej, wpadł w gniew, przyniósł liczydła, dowiódł, że w ciągu pół roku wydali pół miliona, że pod Paryżem nie mają ani podmoskiewskiej, ani też saratowskiej wsi, a kategorycznie odmówił zapłacenia długu. Babka spoliczkowała go i na znak niełaski poszła spać sama.

Na drugi dzień kazała wezwać męża w nadziei, że domowa kara podziałała, ale dziadek był niewzruszony. Po raz pierwszy w życiu zdecydowała się wobec niego na tłumaczenia i wyjaśnienia: chciała poruszyć jego sumienie, pobłażliwie dowodząc, że dług długowi nierówny, że jest różnica pomiędzy księciem a fabrykantem powozów. Nic z tego. Dziadek się zbuntował. Nie i nie. Babka nie wiedziała, co począć.

Bliskim jej znajomym był człowiek bardzo interesujący. Słyszeliście, panowie, o hrabi Saint-Germain, o którym opowiadają tyle przedziwnych historii. Wiecie zapewne, iż mówił o sobie, że jest Żydem Wiecznym Tułaczem, wynalazcą eliksiru życia, kamienia filozoficznego i tak dalej. Wyśmiewano go jako szarlatana, a Casanova w swych *Pamiętnikach* mówił, że był szpiegiem; przy tym wszystkim Saint-Germain pomimo swej tajemniczości miał bardzo szacowny wygląd, a w towarzystwie był człowiekiem bardzo miłym. Babka po dziś dzień kocha się w nim zapamiętale i gniewa się, gdy mówić o nim bez szacunku. Babka wiedziała, że Saint-Germain mógł rozporządzać wielkimi sumami. Postanowiła uciec się do niego; napisała więc kartkę, w której prosiła, by natychmiast do niej przyjechał.

Stary dziwak zjawił się niezwłocznie i zastał ją w straszliwej rozpaczce. Opisała mu w najczarniejszych barwach okrucieństwo męża, a w końcu powiedziała, że całą swoją nadzieję pokłada w jego przyjaźni i uprzejmości.

Saint-Germain zamyślił się. „Mogę służyć pani tą sumą – powiedział – ale wiem, że nie znajdzie pani spokoju aż do chwili spłacenia długu, a nie chciałbym przysparzać jej kłopotów. Jest inny sposób – może się pani odegrać”.

„Ale, kochany hrabio – odpowiedziała babka – przecież powiadam panu, że nie mamy wcale pieniędzy”. „Pieniądze nie są przy tym potrzebne – odrzekł Saint-Germain – niech mnie pani raczy wysłuchać”. I wtedy zdradził jej tajemnicę, za którą każdy z nas drogo by zapłacił...

Młodzi gracze zdwoili uwagę. Tomski zapalił fajkę, zaciągnął się i mówił dalej:

– Tego samego wieczoru babka zjawiła się w Wersalu *au jeu de la reine*.<sup>2</sup> Księżę Orleański trzymał bank; babka trochę się usprawiedliwiała, że nie przywiozła ze sobą długu, zmyśliła jakąś historyjkę na wytłumaczenie i zaczęła poniterować do księcia. Wybrała trzy karty i postawiła jedną po drugiej: wszystkie trzy wygrały z punktu i w ten sposób babka całkowicie się odegrała.

– Przypadek – powiedział jeden z gości.

– Bajka – rzekł Herman.

– Pewno karty były znaczone – zwrócił uwagę ktoś trzeci.

– Nie sądzę – odparł poważnie Tomski.

– Jak to?! – powiedział Narumow. – Masz babkę, która zgaduje trzy karty z rzędu, i do tej pory nie przejąłeś od niej tej czarnej magii?

– Tak, akurat! – odpowiedział Tomski. – Miała czterech synów, jednym z nich był mój ojciec; wszyscy czterej byli zawziętymi graczami, a jednak żadnemu z nich nie zdradziła swej tajemnicy, choć nie wyszłoby to na złe ani im, ani nawet mnie. Ale posłuchajcie, proszę, co opowiadał mi wuj, hrabia Iwan Iljicz, i ręczył honorem, że to prawda. Nieboszczyk Czaplicki – ten sam, który przepuścił miliony i umarł w nędzy – pewnego razu w młodości przegrał, zdaje się do Zoricza, coś około trzechset tysięcy. Był w rozpaczce. Babka, która zawsze

---

<sup>2</sup> na karty u królowej.

surowo odnosiła się do wybryków młodzieży, ulitowała się jakoś nad Czaplickim. Wskazała mu trzy karty pod warunkiem, że postawi jedną po drugiej, i zobowiązała go słowem honoru, że już nigdy więcej nie będzie grał. Czaplicki zjawił się u swego zwycięzcy: siedli do gry. Czaplicki postawił na pierwszą kartę pięćdziesiąt tysięcy i wygrał za pierwszym odkryciem; postawił podwójną stawkę, poczwórną – odegrał się i jeszcze wygrał ponadto... Jednakże czas spać: jest już za kwadrans szósta.

Istotnie, już świtało. Młodzi ludzie dopili swych kieliszków i rozjechali się do domów.

– *Il paraît que monsieur est décidément pour les suivantes*  
 – *Que voulez-vous, madame? Elles sont plus fraîches.*<sup>3</sup>  
 Rozmowa w wielkim świecie.

Stara hrabina siedziała przed lustrem w gotowalni. Trzy pokojówki krzątały się koło niej. Jedna trzymała słoik z różem, druga pudełko ze szpilkami, trzecia wysoki czepiec z ogniście czerwonymi wstążkami. Hrabina nie rościła sobie bynajmniej pretensyj do urody, która dawno już zwiędła, ale zachowała wszystkie nawyki młodości, surowo przestrzegała mody lat siedemdziesiątych i ubierała się tak samo długo, tak samo starannie jak sześćdziesiąt lat temu. Przy oknie u krosien siedziała młoda panna, jej wychowanka.

– Dzień dobry, *grand'maman!* – rzekł wchodząc młody oficer. – *Bon jour, mademoiselle Lise. Grand'maman,*<sup>4</sup> mam do ciebie prośbę.

– O co chodzi, Paul?

– Niech mi *grand'maman* pozwoli przedstawić sobie jednego z moich przyjaciół i przywieźć go w piątek na bal.

– Przywieź go wprost na bal i tam mi go przedstawisz. Byłeś wczoraj u \*?

– Ależ oczywiście. Było bardzo wesoło: tańczyliśmy do piątej rano. Jelecka była urocza!

– E, mój kochany! Co to za uroda? Czy tak wyglądała jej babka, księżna Daria Pietrowna? A propos: księżna Daria Pietrowna bardzo już chyba postarzała?

– Jak to postarzała? – odpowiedział z roztargnieniem Tomski. – Przecież ona umarła siedem lat temu.

Panna podniosła głowę i dała znak młodzieńcowi. Tomski przypomniał sobie, że przed starą hrabiną tajono śmierć jej rówieśnic, i zagryzł wargę. Ale hrabina przyjęła tę nową dla niej wieść z wielką obojętnością.

– Umarła – rzekła – nie wiedziałam. Byłyśmy razem mianowane frejlinami i gdy nas prezentowano cesarzowej, to cesarzowa...

I hrabina po raz setny opowiedziała, wnukowi swoją anegdotę.

– No, Paul – rzekła później —teraz pomóż mi wstać. Lizo, gdzie moja tabakierka?

I hrabina wraz ze swym fraucymerem przeszła za parawan, by dokończyć toalety. Tomski został z panną.

– Kogo to chce pan przedstawić? – cicho zapytała Lizawieta Iwanowna.

– Narumowa. Czy pani go zna?

– Nie. To wojskowy czy cywil?

– Wojskowy.

– Inżynier?

– Nie. Kawalerzysta. A dlaczego pani sądziła, że jest inżynierem?

Panna roześmiała się i nie odpowiedziała ni słowem.

<sup>3</sup> - Pan, zdaje się, jest zdecydowanym zwolennikiem pokojówek?

- No cóż, proszę pani, one są bardziej świeże.

<sup>4</sup> Dzień dobry, panno Lizo. Babciu...

– Paul! – zawołała hrabina zza parawanu. – Przyślij mi jakąś nową powieść, ale nie z tych dzisiejszych.

– Jak to, *grand'maman*?

– To znaczy taką powieść, gdzie bohater nie dusiłby ani ojca, ani matki i gdzie nie byłoby topielców. Strasznie boję się topielców.

– Takich powieści teraz nie ma. A czy nie chcesz rosyjskich?

– A czy istnieją rosyjskie powieści?... Przyślij, mój drogi, przyślij, proszę.

– Przepraszam, *grand'maman*, bardzo mi się spieszy. Żegnam, Lizawieto Iwanowno. Dlaczegoż to pani sądziła, że Narumow jest inżynierem?

I Tomski wyszedł.

Lizawieta Iwanowna została sama; przerwała robotę i zaczęła patrzeć przez okno. Wkrótce po drugiej stronie ulicy, zza narożnego domu, ukazał się młody oficer. Policzki panny okryły się rumieńcem, wzięła się znów do pracy i pochyliła głowę tuż nad kanwą. W tej chwili weszła hrabina, całkowicie już ubrana.

– Każ, Lizko – powiedziała – założyć konie do karety, pojedziemy na spacer.

Lizka wstała zza krosien i zaczęła składać robotę.

– Cóż to, kochaneczko? Ogłuchłaś czy co? – zawołała hrabina. – Każ czym prędzej zakładać konie do karety.

– W tej chwili – odpowiedziała cicho panna i pobiegła do przedpokoju.

Wszedł służący i podał hrabinie książki od księcia Pawła Aleksandrowicza.

– Dobrze. Proszę podziękować – powiedziała hrabina. – Lizko, Lizko, dokąd to biegniesz?

– Ubierać się.

– Zdażysz, kochaneczko, siądź tutaj. Otwórz pierwszy tom, czytaj na głos...

Panna wzięła książkę i przeczytała kilka wierszy.

– Głośniej – powiedziała hrabina. – Co się z tobą dzieje, kochaneczko, głos straciłaś czy co?... Zaczekaj... przysuń mi stołeczek, bliżej. No.

Lizawieta Iwanowna przeczytała jeszcze dwie strony. Hrabina ziewnęła.

– Rzuć tę książkę – rzekła. – Co za bzdury. Odeślij to księciu Pawłowi i każ podziękować. A cóż tam z kareta?...

– Kareta gotowa – powiedziała Lizawieta Iwanowna wyjrzawszy na ulicę.

– Dlaczego jeszcze nie jesteś ubrana? – rzekła hrabina. – Zawsze trzeba na ciebie czekać. To nieznośne.

Liza pobiegła do swego pokoju. Nie minęły dwie minuty, a hrabina zaczęła dzwonić ze wszystkich sił. Trzy służące wbiegły przez jedne drzwi, kamerdyner przez drugie.

– Nie można się was dowołać – powiedziała hrabina. – Powiedzcie Lizawiecie Iwanownie, że czekam na nią.

Lizawieta Iwanowna weszła w salopce i w kapeluszu.

– Nareszcie, kochaneczko – powiedziała hrabina. – Cóż to za stroje. Po cóż to?... Kogo chcesz oczarować?... A jaka tam pogoda? Zdaje się, że wiatr.

– Nie ma wiatru, proszę jaśnie pani – odrzekł kamerdyner.

– Wy zawsze – mówicie na odwrót. Otwórzcie lufcik. Naturalnie, jest wiatr, i w dodatku bardzo zimny. Wyprząc kareta, Lizko. Nie pojedziemy, niepotrzebnie się wystroiłaś.

„Takie to moje życie” – pomyślała Lizawieta Iwanowna.

Istotnie, Lizawieta Iwanowna była nieszczęśliwym stworzeniem. Gorzki jest cudzy chleb, mówi Dante, i trudne stopnie cudzego ganku; a któż, jak nie biedna wychowanica bogatej staruchy zna lepiej gorycz zależności? Hrabina \*, zapewne z natury niezła, była kapryśna jak każda kobieta, zepsuta przez wielki świat, skąpa, pogrążona w zimnym egoizmie, jak wszyscy starzy ludzie, którzy przestali już kochać kogokolwiek i obcy są terazniejszości. Brała udział we wszystkich rozrywkach wielkiego świata, włóczyła się z balu na bal, gdzie siedziała w kącie, wyszminkowana i ubrana staromodnie, niby potworna i niezbędna ozdoba sali balowej;



podchodzili do niej z niskimi ukłonami przybywający goście, jakby spełniali uświęcony obrzęd, a potem nikt się już nią nie zajmował. U siebie przyjmowała całe miasto, przestrzegając surowo etykiety i nie poznając nikogo z twarzy. Jej liczna służba roztyła się i posiwała w przedpokoju i garderobie, robiła, co chciała, na wyścigi okradając umierającą staruchę. Lizawieta Iwanowna była domową męczennicą. Nalewała herbatę i zbierała wymówki za nadmierne zużycie cukru, czytała na głos powieści i ponosiła winę za wszystkie błędy autora, towarzyszyła hrabinie na spacerach i odpowiadała za pogodę i za stan bruków. Miała wyznaczoną pensję, której nigdy nie płacono jej w całości, a jednocześnie żądano, by była ubrana jak wszystkie kobiety, to znaczy, jak bardzo nieliczne. W wielkim świecie odgrywała bardzo żalosalną rolę. Wszyscy ją znali i nikt nie zauważał; na balach tańczyła tylko wtedy, gdy zabrakło *vis-à-vis*, a damy brały ją pod rękę za każdym razem, gdy musiały iść do gotowalni, by poprawić coś w swym stroju. Była ambitna, dotkliwie odczuwała swoją sytuację i rozglądała się dokoła, z niecierpliwością oczekując wybawcy, ale młodzi ludzie, wyrachowani w swej lekkomyślnej próżności, nie darzyli jej uwagą, choć Lizawieta Iwanowna była stokroć milsza od zuchwałych i zimnych panien, którym nadskakiwali. Ileż to razy, opuściwszy cichaczem nudny i wspaniały salon, uciekała, by wypłakać się w swym ubogim pokoiku, gdzie stał oklejony papierowym obiciem parawan, komoda, lusterko i malowane łóżko i gdzie łojowa świeczka paliła się nikle w miedzianym lichtarzu.

Pewnego razu – w dwa dni po opisanym na początku tej powieści wieczorze, a na tydzień przed sceną, na której zatrzymaliśmy się – pewnego razu Lizawieta Iwanowna, siedząc koło okna przy krosnach, mimo woli wyjrzała na ulicę i zobaczyła młodego inżyniera, który stał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w jej okno. Pochyliła głowę i znów zajęła się robotą, po pięciu minutach wyjrzała znowu – młody oficer stał na tym samym miejscu. Ponieważ nie miała zwyczaju kokietować przechodzących oficerów, przestała wyglądać na ulicę i nie podnosząc głowy wyszywała blisko dwie godziny bez przerwy. Podano do stołu. Lizawieta Iwanowna wstała, zaczęła składać robotę i przypadkiem spojrzawszy na ulicę, znów zauważyła oficera. Wydało jej się to dość dziwne. Po obiedzie zbliżyła się do okna z uczuciem pewnego niepokoju, ale oficera już nie było – i wkrótce o nim zapomniała...

Po jakichś dwóch dniach, gdy wyszła z hrabiną, by wsiąść do karety, ujrzała go znowu.

Stał przed samym podjazdem, zasłaniając twarz bobrowym kołnierzem; spod kapelusza błyskały jego czarne oczy. Lizawieta Iwanowna nie wiedząc czemu złękła się i cała drżąca siadła do karety.

Po powrocie do domu pobiegła do okna. Oficer stał na dawnym miejscu, wpijając w nią wzrok; odeszła, dręczona ciekawością i poruszona zupełnie nowym dla siebie uczuciem.

Od tego czasu nie było dnia, by młody człowiek nie zjawiał się b oznaczonej godzinie pod oknami ich domu. Wytworzyły się pomiędzy nimi jakieś nieokreślone stosunki. Siedząc nad robótką na swym zwykłym miejscu, czuła, jak nadchodzi – podnosiła głowę, patrzyła na niego z każdym dniem coraz dłużej. Młody człowiek, zdawało się, był jej za to wdzięczny: dostrzegła bystrym wejrzeniem młodości, jak nagły rumieniec okrywa jego blade policzki za każdym razem, gdy spotykają się ich spojrzenia. Po tygodniu uśmiechnęła się do niego...

Kiedy Tomski zapytał hrabinę, czy mu pozwoli przedstawić sobie jego przyjaciela, biednej dziewczynie zaczęło bić serce. Ale gdy dowiedziała się, że Narumow nie jest inżynierem, lecz oficerem gwardii konnej, pożałowała, że niebacznym pytaniem zdradziła lekkomyślnemu Tomskiemu swą tajemnicę.

Herman był synem zniszczonego Niemca, który zostawił mu niewielki kapitał. Głęboko przekonany, że musi utrwalić swą niezależność, Herman nie tykał nawet procentów, żył z samej tylko pensji, nie pozwalał sobie na najmniejsze zachcianki Skądinał był skryty i ambitny i kolegom Hermana rzadko nadarzała się okazja do wyśmiewania jego skąpstwa. Miał silne namiętności i bujną wyobraźnię, ale siła woli uchroniła go od zwykłych błędów młodości. Tak więc na przykład, choć był z usposobienia graczem, nigdy nie brał kart do rąk,

obliczył bowiem, że jego stan majątkowy nie pozwala mu (jak powiadał) ryzykować tego, co niezbędne, w nadziei osiągnięcia tego, co zbyt cenne – a równocześnie spędzał całe noce przy stołach gry śledząc z gorączkowym drżeniem zmienne koleje hazardu.

Anegdota o trzech kartach mocno podziałała na jego wyobraźnię i przez całą noc nie wychodziła mu z głowy. „A gdyby tak – myślał następnego dnia wieczorem, włócząc się po Petersburgu – a gdyby tak stara hrabina zdradziła mi ową tajemnicę, albo wymieniła mi te trzy niezawodne karty. Dlaczego nie miałbym spróbować szczęścia? Przedstawić się jej, wkraść się w łaski – zostać choćby jej kochankiem. Ale wszystko to wymaga czasu, a hrabina ma osiemdziesiąt siedem lat, może umrzeć za tydzień, za dwa dni... A ta anegdota?... Czy można jej wierzyć?... Nie, wyrachowanie, umiar i pracowitość to moje trzy niezawodne karty, tylko to potroi, usiedmiokrotni mój kapitał i zapewni mi spokój i niezależność”.

Rozmyślając w ten sposób znalazł się na jednej z głównych ulic Petersburga przed domem o staroświeckiej fasadzie. Ulica była zatłoczona powozami, karety długim rzędem zajeżdżały przed oświetlony podjazd. Co chwila z karety wysuwała się kształtna nóżka młodej, pięknej damy, to dzwoniący ostrogą but wojskowy, to znów pasiasta pończocha i dyplomatyczny pantofel. Futra i płaszcze przemykały obok dostojnego szwajcara. Herman przystanął.

– Czyj to dom? – zapytał strażnika na rogu.

– Hrabiny \* – odpowiedział strażnik. Herman zadrżał. Dziwna anegdota na nowo poruszyła jego wyobraźnię. Zaczął krążyć wokół domu, myśląc o jego właścicielce i o jej osobliwych zdolnościach. Późno powrócił do swego skromnego mieszkania; długo nie mógł zasnąć, a gdy już ogarnął go sen, majaczyły mu się karty, zielony stół, pliki banknotów i stosy złotych monet. Coraz to stawiał na kartę, stanowczym ruchem zaginał parole, nieustannie wygrywał i zgarniał złoto, i kładł banknoty do kieszeni. Obudził się późno, westchnął za utraconym fantastycznym majątkiem, wyszedł z domu, znów błąkał się po mieście i znów znalazł się przed domem hrabiny \*. Zdawało się, że ciągnie go tu jakaś nieznaną siłą. Przystanął i zaczął patrzeć w okna. W jednym z nich ujrzał ciemną główkę, pochyloną zapewne nad książką czy nad robótką. Główna obróciła się ku oknu. Herman dostrzegł świeżą twarzyczkę i czarne oczy. Ta chwila zdecydowała o jego losie.

*Vous m'écrites, mon ange  
des lettres de quatre pages plus vite que je ne puis le lire.*<sup>5</sup>  
Z korespondencji

Zaledwie Lizawieta Iwanowna zdążyła zdjąć płaszcz i kapelusz, gdy już hrabina posłała po nią i kazała na nowo podać karetę. Obie zeszły do pojazdu. W tej samej chwili, gdy dwaj lokaje uniósłszy pod ręce staruszkę przepychali ją przez drzwiczki, Lizawieta Iwanowna ujrzała swego inżyniera tuż przy kole. Chwycił ją za rękę; dziewczyna nie zdołała ochłonąć z przestrawienia, gdy młody człowiek znikł – zostawiając w jej ręku list. Ukryła go w rękawiczce i przez całą drogę nie słyszała nic i nie widziała. Hrabina miała zwyczaj co chwila zadawać jej w karetce jakieś pytania: kogośmy to minęli? jak się nazywa ten most? co tam napisane na szyldzie? Tym razem Lizawieta Iwanowna odpowiadała nietrafnie, bez zastanowienia i rozgniewała hrabinę.

– Co się z tobą stało, kochaneczko? Zglupiałaś czy co? Czy mnie nie słyszysz, czy też nie rozumiesz? Dzięki Bogu, mówię wyraźnie ani też jeszcze nie zdzieciniałam.

Lizawieta Iwanowna nie słuchała. Po powrocie do domu pobiegła do swego pokoju, wyjęła list zza rękawiczki; nie był zapieczętowany; przeczytała. List zawierał wyznania miłosne. Był czuły, pełen szacunku i dosłownie przepisany z niemieckiego romansu. Lizawieta Iwanowna nie знаła jednak niemieckiego i była z listu bardzo zadowolona.

Ale przyjęty list niepokoił ją niezmiernie. Po raz pierwszy potajemnie nawiązała stosunki z młodym mężczyzną. Przerazało ją jego zuchwalstwo. Robiła sobie wymówki, że zachowała się nieostrożnie, i nie wiedziała, co robić: czy zaniechać siadania przy oknie i brakiem uwagi ostudzić w młodym oficerze ochotę do dalszych kroków, czy odesłać mu list, czy odpowiedzieć zimno i stanowczo? Nie miała się kogo poradzić: ani przyjaciółki, ani powiernicy. Wreszcie postanowiła napisać odpowiedź. Siadła przy stoliku, wzięła pióro, arkusz papieru – i zamyśliła się. Kilka razy zaczynała list na nowo i darła. Każdy zwrot wydawał – jej się – zbyt łagodny, to znów zbyt okrutny. Wreszcie udało jej się napisać kilka zdań, z których była zadowolona.

„Jestem przekonana – pisała – że ma Pan uczciwe zamiary i że nie chce obrazić mnie nierozważnym postępowaniem, ale znajomość nasza nie powinna zaczynać się w ten sposób. Zwracam Panu list w nadziei, że nie będę miała na przyszłość powodu skarżyć się na niezasłużony brak szacunku”.

Nazajutrz ujrawszy Hermana Lizawieta Iwanowna wstała od krosien, przeszła do salonu, otworzyła lufcik i licząc na zręczność młodego oficera, rzuciła list na ulicę. Herman podbiegł, podniósł go i wszedł do cukiernika. Gdy zerwał pieczęć, znalazł swój list i odpowiedź Lizawiey Iwanowny. Tego się właśnie spodziewał i powrócił do domu bardzo przejęty swą intrygą.

---

<sup>5</sup> Piszesz mi, mój aniele, listy na cztery stronicie prędzej, niż mogę je przeczytać.

W trzy dni później młoda, bystrooka panna sklepowa przyniosła Lizawiecie Iwanownie karteczkę z domu młód. Lizawieta Iwanowna spojrziała na kartkę z niepokojem, sądząc, że to rachunek, gdy nagle poznała pismo Hermana.

– Omyliłaś się, moja droga – odrzekła. – Ta kartka nie jest do mnie.

– Nie, właśnie do pani! – odpowiedziała śmiała dziewczyna nie ukrywając figlarnego uśmiechu. – Niech pani raczej przeczytać!

Lizawieta Iwanowna przejrzała szybko kartkę. Herman żądał spotkania.

– To być nie może! – powiedziała Lizawieta Iwanowna, przerażona zarówno pośpiesznym żądaniem, jak i sposobem, którego użył Herman. – Ten list na pewno nie jest do mnie! – I podarła list na drobne kawałki.

– Jeżeli list nie jest do pani, to po co go pani podarła? – rzekła dziewczyna. – Zwróciłabym go temu, kto go posłał.

– Proszę cię, moja droga – powiedziała Lizawieta Iwanowna zapłoniwszy się po jej uwadze – na przyszłość nie przynoś do mnie żadnych karteczek, a temu, kto cię przysłał, powiedz, że powinien się wstydzić...

Lecz to Hermana nie pohamowało. Lizawieta Iwanowna co dzień w ten czy inny sposób otrzymywała od niego listy. Nie były już tłumaczone z niemieckiego, Herman pisał je natchniony namiętnością, a wyrażał się charakterystycznym dla niego językiem. W listach tych przejawiała się niezłomność jego pragnień i bezład nieokiełznanej wyobraźni. Lizawieta Iwanowna nie myślała już o tym, by je odsyłać; upajała się nimi, zaczęła na nie odpowiadać, jej listy z dnia na dzień stawały się coraz dłuższe i czulsze. Wreszcie rzuciła mu przez okno następujący list:

„Dzisiaj jest bal u posła \*–skiego. Będzie tam hrabina. Zabawimy na balu mniej więcej do drugiej. Ma Pan sposobność zobaczyć się ze mną sam na sam. Gdy hrabina odjedzie, jej służba zapewne się rozejdzie, w sieni zostanie Szwajcar, ale i on zazwyczaj odchodzi do swojej izdebki. Niech Pan przyjdzie o wpół do dwunastej. Proszę iść wprost na schody. Jeżeli spotka Pan kogo w przedpokoju, proszę zapytać, czy hrabina jest w domu. Jeśli odpowiedzą Panu, że nie ma – to trudno, będzie Pan musiał zawrócić. Ale prawdopodobnie nie spotka Pan nikogo. Dziewczęta siedzą u siebie, wszystkie w jednym pokoju. Z przedpokoju pójdzie Pan na lewo, dalej prosto do sypialni hrabiny. W sypialni, za parawanem, ujrzy pan dwoje małych drzwiczek: na prawo do gabinetu, dokąd hrabina nigdy nie wchodzi, i na lewo na korytarz; tu zauważy Pan wąskie, kręcone schody, które prowadzą do mojego pokoju”.

Herman w oczekiwaniu wyznaczonej godziny dygotał jak tygrys. O dziesiątej wieczorem stał już przed domem hrabiny. Pogoda była okropna: wiatr wył, mokry śnieg walił płatami, mętnie świeciły latarnie, ulice były puste. Z rzadka wlokła się zaprzężona w wychudłą szkapę dorożka wyczekując na spóźnionego pasażera. Herman stał w samym tylko surducie, nie odczuwając ani wiatru, ani śniegu. Wreszcie zajechała karetka hrabiny. Herman widział, jak lokaje wynieśli pod ręce otuloną w sobolowe futro zgarbioną staruszkę, a tuż za nią, w lekkim płaszczu, z głową przybraną świeżymi kwiatami, przemknęła jej wychowanka. Drzwiczki zatrzaśnięto. Karetka ciężko potoczyła się po miękkim śniegu. Szwajcar zamknął drzwi. Okna pogasły. Herman zaczął chodzić przed opustoszałym domem, podszedł do latarni, spojrzął na zegarek – było dwadzieścia po jedenastej. Zatrzymał się pod latarnią ze wzrokiem utkwionym we wskazówkę zegarka, wyczekując, aż miną pozostałe minuty. Punktualnie o wpół do dwunastej wszedł na ganek domu hrabiny, a stamtąd do jasno oświetlonej sieni. Szwajcara nie było. Wbiegł po schodach, otworzył drzwi do przedpokoju i ujrzał służącego, –który spał pod lampą, w starym poplamionym fotelu. Lekkim i pewnym krokiem przeszedł obok śpiącego. W salonie i bawialni było ciemno. Lampa w przedpokoju słabo je oświetlała. Wszedł do sypialni. Przed kiotem pełnym starych obrazów tliła się złota lampka oliwna. Wypłowiałe fotele kryte adamaszkiem i kanapy z puchowymi poduszkami, ze startą pozlótką, stały w żałobnej symetrii wzdłuż ścian obitych chińską materią. Na ścianie wisiały dwa portrety

malowane w Paryżu przez M-me Lebrun. Jeden z nich przedstawiał czterdziestoletniego mężczyznę, tęgiego i rumianego, w jasnozielonym mundurze z gwiazdą, drugi – młodą piękną kobietę z orlim nosem i różą wetkniętą w napudrowane, zaczesane do góry włosy. Po wszystkich kątach stały porcelanowe pasterki, stołowe zegary roboty słynnego Leroy, pudełeczka, dziecinne bączki, wachlarze i różne damskie cacka wynalezione w końcu minionego stulecia wraz z balonem Montgolfierów i magnetyzmem Messmera. Herman wszedł za parawan. Stało tam małe żelazne łóżko, na prawo znajdowały się drzwi do gabinetu, na lewo inne, wiodące na korytarz. Herman otworzył je, dostrzegł wąskie kręcone schody, które prowadziły do pokoju ubogiej wychowanicy... Zawrócił jednak i wszedł do ciemnego gabinetu...

Czas biegł powoli. Wszędzie panowała cisza. W bawialni wybiła dwunasta, w innych pokojach zegary kolejno wybiły dwunastą – i znów wszystko zamilkło. Herman stał oparty o zimny piec. Był spokojny; serce biło mu równo, jak człowiekowi, który zdecydował się na czyn niebezpieczny, lecz nieodzowny. Zegar wybił pierwszą, drugą godzinę – a wtedy Herman usłyszał daleki turkot karety. Ogarnęło go mimowolne podniecenie. Kareta zbliżyła się i stanęła.

Usłyszał stuk opuszczanego stopnia. W domu powstał ruch. Przybiegła służba, rozległy się głosy, dom zajaśniał światłem. Do sypialni wbiegły trzy stare pokojówki; hrabina ledwo żywa, weszła i opadła na wolterowski fotel. Herman patrzył przez szparę. Lizaweta Iwanowna przeszła obok niego. Usłyszał jej szybkie kroki na stopniach schodów. W sercu jego odezwało się coś w rodzaju wyrzutów sumienia i zamilkło. Skamieniał.

Hrabina zaczęła rozbierać się przed lustrem. Pokojówki odpięły jej czepiec przystrojony różami, zdjęły z siwej i krótko ostrzyżonej głowy upudrowaną perukę. Szpilki sypały się wokół niej jak deszcz. Żółta suknia haftowana srebrem opadła do opuchłych nóg. Herman był świadkiem obrzydliwych tajemnic jej toalety; wreszcie hrabina została w samym tylko nocnym kaftaniku i czepku: w tym stroju, bardziej stosownym do jej starości, wydawała się mniej okropna i mniej szkaradna.

Jak wszyscy starzy ludzie, hrabina cierpiała na bezsenność. Rozebrawszy się usiadła przy oknie w wolterowskim fotelu i odesłała pokojówki. Świecę wyniesiono, pokój znowu rozjaśniała jedynie lampka. Hrabina siedziała pożółkła, poruszając obwisłymi wargami, chwiejąc się w prawo i w lewo. Z mętnych jej oczu przebijał całkowity brak myśli. Patrząc na nią można było sądzić, że straszna starucha chwieje się nie z własnej woli, lecz pod wpływem ukrytego galwanizmu.

Naraz ta martwa twarz zmieniła się w sposób niepojęty. Wargi przestały się poruszać, oczy się ożywiły: przed hrabiną stał nieznajomy mężczyzna.

– Niech się pani nie lęka, na miłość boską, niech się pani nie lęka – powiedział głosem cichym i dobitnym. – Nie mam zamiaru pani krzywdzić, przyszedłem błagać o jedną łaskę.

Starucha patrzyła na niego w milczeniu i wydawało się, że go nie słyszy.

Herman pomyślał, że jest głucha. Pochylił się nad samym jej uchem i powtórzył to samo. Staruszka wciąż milczała.

– Pani może – mówił dalej Herman – uczynić mnie szczęśliwym. To nic nie będzie cię kosztowało: wiem, że potrafisz pani odgadnąć trzy karty z rzędu.

Herman urwał. Hrabina, zdawałoby się, zrozumiała, czego od niej żąda – rzekłbyś, szukała w myśli słów odpowiedzi.

– To był żart – wyrzekła wreszcie. – Przysięgam panu, to był żart.

– Nie czas na żarty – odparł surowo Herman. – Niech pani sobie przypomni Czaplickiego, któremu kiedyś pomogłaś się odegrać.

Hrabina była wyraźnie zmieszana. Na twarzy jej odmalowało się silne wzruszenie, ale wkrótce wpadła w poprzednią obojętność.

– Czy pani może – ciągnął – wymienić mi te trzy niezawodne karty?

Hrabina milczała. Herman mówił dalej:

– Dla kogo zachowuje pani tę tajemnicę? Dla wnuków? Są i tak bogaci, nie rozumieją nawet, co znaczy pieniądź. Rozrzutnikowi nie pomogą te trzy karty. Kto nie umie strzec dziedzictwa ojców, ten pomimo najzacieklejszych wysiłków tak czy inaczej umrze w nędzy. Ja nie jestem rozrzutnikiem; wiem, co znaczą pieniądze. W moim ręku te trzy karty nie pójdą na marne. Więc?...

Przerwał i z drżeniem czekał na jej odpowiedź.

Hrabina milczała; Herman ukląkł.

– Jeżeli kiedykolwiek – powiedział – serce pani zaznało miłości, jeżeli pamiętasz jej uniesienia, jeżeli choć raz uśmiechnęłaś się słysząc płacz nowo narodzonego syna, jeżeli ludzkie uczucie było kiedykolwiek w twojej piersi, to zaklinam panią na uczucia żony, kochanki, matki – na wszystkie świętości – nie odmawiaj mej prośbie, odsłoń mi tę tajemnicę. Co ci po niej. Być może wiąże się ona z okropnym grzechem, z utratą wiecznego zbawienia, z szatańskim cyrografem... Niech pani pomyśli: jesteś stara, już niewiele życia ci pozostało, gotów jestem wziąć ten grzech na siebie. Tylko odsłoń swoją tajemnicę. Proszę pomyśleć, że czyjeś szczęście znajduje się w pani rękach, że nie tylko ja, ale moje dzieci, wnuki i prawnuki będą błogosławiły twoją pamięć i będą ją czciły jak świętość...

Starucha nie odezwała się ani słowem. Herman wstał z klęczek.

– Stara wiedźmo – powiedział – zaciskając zęby – jeśli tak, to zmuszę cię do odpowiedzi... Mówiąc to wyjął z kieszeni pistolet. Na widok pistoletu hrabina po raz drugi okazała silne wzruszenie. Zaczęła kiwać głową i podniosła rękę, jakby zasłaniając się przed wystrzałem... Potem opadła na wznak... i znieruchomiała.

– Dostyc tej dziecinady – rzekł Herman chwytając jej rękę. – Pytam po raz ostatni, czy zechce mi pani wymienić te trzy karty? Tak czy nie?

Hrabina nie odpowiedziała. Herman zrozumiał, że umarła.

Lizawieta Iwanowna, wciąż jeszcze w stroju balowym, siedziała w swoim pokoju, w głębokiej pograżona zadumie. Po przyjeździe do domu szybko odesłała zaspaną służącą, która niechętnie zaofiarowała jej swą pomoc; powiedziała, że się sama rozbierze, i z drżeniem weszła do swego pokoju spodziewając się zastać tam Hermana, a jednocześnie pragnąc go nie zastać. Już pierwsze spojrzenie upewniło ją, że go nie ma, i wdzięczna była losom, że nie dopuściły do tego spotkania. Usiadła nie rozbierając się i zaczęła przypominać sobie wszystkie okoliczności, które w tak krótkim czasie zaprowadziły ją tak daleko. Nie minęły jeszcze trzy tygodnie od czasu, gdy po raz pierwszy przez okno ujrzała młodzieńca, i oto już z nim korespondowała, a on zdołał wymóc na niej nocne spotkanie. Znała jego imię tylko dlatego że niektóre z jego listów były podpisane; nigdy z nim nie rozmawiała, nie słyszała jego głosu, nie słyszała nic o nim... aż do dzisiejszego wieczora. Dziwna rzecz. Właśnie dziś wieczór, na balu, Tomski, nadąsany na młodą księżniczkę Polinę \*, która wbrew zwyczajowi kokietowała nie jego, pragnąc odplacić jej obojętnością, zaprosił Lizawietę Iwanownę i tańczył z nią mazura do upadłego. Przez cały czas żartował z jej słabości do oficerów inżynierii zapewniając, że wie znacznie więcej, niż mogłaby przypuszczać, a niektóre z jego dowcipów były tak celne, że Lizawieta Iwanowna kilka razy pomyślała, iż Tomski zna jej tajemnicę.

- Kto panu o tym wszystkim powiedział? – zapytała ze śmiechem.
- Przyjaciół tego, o kim mówimy – odpowiedział Tomski – człowiek bardzo interesujący.
- Któż to jest ten bardzo interesujący człowiek?
- To Herman.

Lizawieta Iwanowna nie odpowiedziała nic, ale poczuła, że ręce i nogi jej zlodowaciały...

– Ten Herman – mówił dalej Tomski – to prawdziwie romantyczna postać: ma profil Napoleona, a duszę Mefistofelesa. Myślę, że ma na sumieniu co najmniej trzy zbrodnie. Jak pani zbladła!...

– Boli mnie głowa... No więc cóż panu mówił ten Herman, czy też jak mu tam?

– Herman jest bardzo niezadowolony ze swego przyjaciela. Powiada, że na jego miejscu postąpiłby zupełnie inaczej... Sądzę nawet, że Herman sam ma jakieś zamiary wobec pani, w każdym razie w bardzo nieobojętny sposób słucha miłosnych westchnień swego przyjaciela.

– A gdzie on mnie widział?

– Może w cerkwi albo na spacerze! Bóg raczy wiedzieć! Może wreszcie w pani własnym pokoju, gdy pani spała: stać go na wszystko...

Trzy damy podeszły do nich z zapytaniem: *oubli ou regret*,<sup>7</sup> i przerwały rozmowę, która stawała się dla Lizawiety Iwanowny interesująca aż do udreki.

Dama, którą wybrał Tomski, była to właśnie księżniczka \*. Zdażyła z nim dojść do porozumienia obiegłszy jeszcze raz salę i jeszcze raz pokręciwszy się przed swoim krzesłem.

---

<sup>6</sup> Człowiek bez czci i wiary.

<sup>7</sup> zapomnienie czy żal

Tomski, kiedy wrócił na miejsce, nie myślał już ani o Hermanie, ani o Lizawiecie Iwanownie. Ona zaś koniecznie chciała nawiązać przerwana rozmowę, ale mazur się skończył, a wkrótce potem stara hrabina opuściła bal.

Słowa Tomskiego, które były jedynie paplaniną przy mazurze, głęboko zapadły w duszę młodej marzycielki. Portret naszkicowany przez Tomskiego był podobny do wizerunku, jaki wyimaginowała sobie sama, i ta banalna już dzięki najnowszym romansom postać przerażała i pociągała jej wyobraźnię. Siedziała, skrzyżowawszy obnażone ręce z głową pochyloną na odsłoniętą, przybraną jeszcze kwiatami pierś... Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Herman. Zadrżała...

– Gdzie pan był? – spytała załęcznionym szeptem.

– W sypialni starej hrabiny – odrzekł Herman – właśnie od niej wracam. Hrabina umarła.

– O Boże!... Co pan mówi?!...

– I zdaje się – mówił dalej Herman – że ja jestem przyczyną jej śmierci.

Lizawieta Iwanowna spojrzała nań i w duszy jej zabrzmiały słowa Tomskiego: „Ten człowiek ma przynajmniej trzy zbrodnie na sumieniu”. Herman siadł na oknie tuż koło niej i opowiedział jej wszystko.

Lizawieta Iwanowna słuchała z przerażeniem. A więc te namiętne listy, te płomienne żądania, to zuchwałe, uparte prześladowanie, wszystko to nie było miłością! Pieniądze – tylko tego łaknęła jego dusza! Nie w jej mocy było zaspokoić jego pragnienia i dać mu szczęście. Uboga wychowanka była jedynie ślepą pomocnicą zbrodniarza, zabójcy jej starej opiekunki. Zapłakała gorzko, dręczona spóźnioną skruchą. Herman patrzył na nią w milczeniu, serce jego również było rozdarte. Ale twardą jego duszę dręczyły nie łzy biednej dziewczyny, nie przedziwny urok jej rozpacz. Nie czuł wyrzutów sumienia na myśl o zmarłej staruszce. Przerzała go jedynie niepowrotna utrata sekretu, po którym spodziewał się bogactwa.

– Pan jest potworem! – rzekła wreszcie Lizawieta Iwanowna.

—Nie chciałem jej śmierci – odpowiedział. Herman – pistolet mój jest nie nabity. Zamilkli.

Nadchodził ranek. Lizawieta Iwanowna zgasła dopalającą się świecę, blade światło rozjaśniło pokój. Otarła zapłakane oczy i podniosła je na Hermana, siedział na oknie, groźnie zasępiony, z założonymi rękami; w pozie tej zadziwiająco przypominał portret Napoleona. To podobieństwo uderzyło nawet Lizawietę Iwanownę.

– Jakże pan stąd wyjdzie? – powiedziała wreszcie Lizawieta Iwanowna. – Myślałam, że przeprowadzę pana tajemnymi schodami, lecz trzeba przejść koło sypialni, a ja się boję.

– Niech mi pani powie, jak znaleźć te tajemne schody; sam wyjdę.

Lizawieta Iwanowna wstała, wyjęła z komody klucz, wręczyła go Hermanowi i pouczyła go szczegółowo. Herman uścisnął jej zimną, nieśmiałą dłoń, pocałował ją w pochyloną głowę i wyszedł.

Zszedł po kręconych schodach i znów dostał się do sypialni hrabiny. Martwa starucha tkwiła w fotelu jak skamieniała. Na twarzy jej malował się głęboki spokój. Herman zatrzymał się przy niej, długo na nią patrzył, jak gdyby pragnął upewnić się o okropnej prawdzie; wreszcie wszedł do gabinetu; namacał ukryte za obiciem drzwi i trawiony dziwnym uczuciem zaczął schodzić po ciemnych schodach. „Po tych samych schodach – myślał – może sześćdziesiąt lat temu, do tej samej sypialni, o tej samej godzinie, ubrany w haftowany fraczek, uczesany *à l'oiseau royal*, przyciskając do serca trójgraniasty kapelusz, przekradał się młody wybraniec, który dawno już rozpadł się w proch, a dzisiaj przestało bić serce jego sędziwej kochanki...”

Na dole Herman trafił na drzwi, otworzył je tym samym kluczem i znalazł się na korytarzu, który wyprowadził go na ulicę.



*Tej nocy ukazała mi się nieboszczka baronowa von W.  
Była cała w bieli i powiedziała do mnie: „Dzień dobry panie radco!”*  
Swedenborg

W trzy dni po fatalnej nocy, o dziewiątej rano, Herman wybrał się do monasteru \*, gdzie miało odbyć się nabożeństwo żałobne przy trumnie zmarłej hrabiny. Choć nie czuł skruchy, nie mógł jednak całkowicie zagłuszyć głosu sumienia, który mówił: jesteś zabójcą starej! Mało miał prawdziwej wiary, za to mnóstwo przesądów. Wierzył, że zmarła hrabina może wyrzucić szkodliwy wpływ na jego życie, i postanowił pójść na pogrzeb, żeby wybłagać u niej przebaczenie.

Cerkiew była przepelniona, Herman z wielkim wysiłkiem zdołał przecisnąć się przez tłum. Trumna stała na okazałym katafalku, pod aksamitnym baldachimem. Zmarła leżała z rękami złożonymi na piersiach, w koronkowym czepek i białej atlasowej sukni. Wokoło stali domownicy: słudzy w czarnych kaftanach z herbowymi wstęgami na ramieniu i ze świecami w ręku, krewni w głębokiej żałobie – dzieci, wnuki i prawnuki. Nikt nie płakał; łzy były *une affectation*. Hrabina była tak stara, że śmierć jej nikogo nie mogła zaskoczyć, krewni już od dawna patrzyli na nią jak na osobę, która przeżyła swoje lata. Młody archijerej wygłosił mowę pogrzebową. W prostych i wzruszających słowach przedstawił spokojny zgon bogobojnej staruszki, której długie lata były cichym rozczulającym przygotowaniem do chrześcijańskiego zgonu. „Anioł śmierci nawiedził ją – rzekł mówca – gdy czuwała zatopiona w pobożnych rozmyślaniach i w oczekiwaniu boskiego Oblubieńca”. Nabożeństwo upłynęło w godziwym smutku. Krewniacy pierwsi zbliżyli się, by pożegnać zmarłą. Potem ruszyli liczni goście, którzy przyjechali pokłonić się tej, co od tak dawna była uczestniczką ich czczych ucies. Po nich podchodzili wszyscy domownicy. Wreszcie zbliżyła się stara ochmistrzyni, rówieśnica nieboszczki. Prowadziły ją pod ręce dwie młode dziewczyny. Nie miała sił pokłonić się do ziemi – ona jedna tylko przelała kilka łez całując zimną dłoń swojej pani. Po niej zdecydował się podejść do trumny Herman. Skłonił się do ziemi i przez kilka minut leżał na zimnej, usypanej jedliną posadzce. Wreszcie wstał, równie blady jak nieboszczka, wszedł po stopniach katafalku i pochylił się... W tej samej chwili wydało mu się, że zmarła spojrzała na niego drwiąco, mrużąc jedno oko. Herman cofnął się gwałtownie, potknął się i runął na wznak. Podniesiono go. Równocześnie wyniesiono do kruchty zemdloną Lizawietę Iwanownę. Epizod ów zamącił na kilka minut uroczysty przebieg ponurego obrzędu. Wśród uczestników rozległ się głuchy szept, a chudy szambelan, bliski krewny nieboszczki, szepnął na ucho stojącemu obok siebie Anglikowi, że młody oficer jest jej nieprawym synem, na co Anglik odpowiedział oziębłe: „Oh?”

Przez cały dzień Herman był nadzwyczaj wzburzony. Podczas obiadu w odległej traktierni, wbrew zwyczajowi, pił bardzo dużo w nadziei, że zagłuszy wewnętrzny niepokój. Ale wódka jeszcze bardziej rozpałała jego wyobraźnię. Wróciwszy do domu, nie rozbierając się rzucił się na łóżko i zapadł w mocny sen.

Obudził się dopiero nocą; księżyc oświetlał pokój. Spojrzał na zegar: była za piętnaście trzecia. Nie mógł już zasnąć; siadł na łóżku i myślał o pogrzebie starej hrabiny.

Naraz ktoś przez okno zajrzał z ulicy do jego pokoju i natychmiast odszedł. Herman nie zwrócił na to uwagi. Po chwili usłyszał, że otwarto drzwi w przedpokoju. Herman pomyślał, że to ordynans, pijany jak zazwyczaj, wraca z nocnej przechadzki. Ale usłyszał nieznane kroki. Ktoś szedł, z cicha szurając pantoflami. Drzwi się otworzyły, weszła kobieta w białej sukni. Herman wziął ją za swoją starą niańkę i zdziwił się, co ją mogło sprowadzić o takiej porze. Lecz kobieta w bieli nagle znalazła się tuż przy nim – i Herman poznał hrabinę.

– Przyszłam do ciebie wbrew własnej woli – powiedziała twardym głosem – ale kazano mi spełnić twoją prośbę. Trójka, siódemka i as wygrają ci kolejno, lecz pod warunkiem, byś nie stawiał w ciągu doby więcej niż na jedną kartę i żebyś nie grał już później przez całe życie. Wybaczam ci moją śmierć pod warunkiem, że ożenisz się z moją wychowanicą, Lizawietą Iwanowną.

Z tymi słowy odwróciła się powoli, skierowała ku drzwiom i znikła szurając pantoflami. Herman słyszał, jak trzasnęły drzwi w sieni, i dostrzegł, że ktoś znów zajrzał do niego przez okno.

Długo nie mógł się opamiętać. Wszedł do drugiego pokoju. Ordynans spał na podłodze; Herman ledwo się go dobudził. Ordynans był jak zwykle pijany: nie można było z niego wydobyć dorzeczej odpowiedzi. Drzwi w sieni były zamknięte. Herman wrócił do swego pokoju, zapalił świecę i zapisał swoje widzenie.

– *Attendez!*

– Jak pan śmiał mi powiedzieć *attendez?*

– Ekscelencjo, powiedziałem: *Attendez, jaśnie wielmożny panie!*

Dwie statyczne idee nie mogą współistnieć w świecie duchowym, tak samo, jak dwa ciała nie mogą w świecie fizycznym znajdować się w tym samym miejscu. Trójka, siódemka, as – wkrótce przesłoniły w wyobraźni Hermana obraz zmarłej staruchy. Trójka, siódemka, as – nie wychodziły mu z głowy i poruszały się na jego wargach: Na widok młodej dziewczyny mówił: „Jakże jest zgrabna... Prawdziwa trójka kier”. Na pytanie, którą godzinę, odpowiadał: „Za pięć minut siódemka”. Każdy otyły mężczyzna przypominał mu asa. Trójka, siódemka, as – prześladowały go we śnie, przybierając wszelkie możliwe postacie. Trójka kwitła przed nim na kształt wspaniałego wielkiego kwiatu, siódemkę wyobrażał sobie jako gotycki portal, a asa jako olbrzymiego pajaka. Wszystkie jego myśli zespoliły się w jedną: wykorzystać tajemnicę, która go tak drogo kosztowała. Zaczął myśleć o tym, by podać się do dymisji i wyruszyć w podróż. Chciał w otwartych domach gry Paryża wyłudzić skarb od zaczarowanej fortuny. Przypadek uwolnił go od kłopotu.

W Moskwie powstało koło bogatych graczy pod przewodnictwem słynnego Czekalińskiego, który spędził całe życie przy kartach i zdobył ongiś miliony wygrywając weksle, a przegrywając gotówkę. Długoletnim doświadczeniem zjednał sobie zaufanie przyjaciół, a dom otwarty, słynny kuchmistrz, uprzejmość i wesołość zdobyły mu szacunek towarzystwa. Przyjechał do Petersburga. Zaczęła do niego napływać młodzież zapominając dla kart o balach i przedkładając pokusy faraona nad uroki uwodzenia. Narumow zaprowadził do niego Hermana.

Minęli szereg wspaniałych pokojów, w których pełno było ugrzecznionych lokai. Kilku generałów i tajnych radców grało w wista; młodzi ludzie siedzieli rozparci na adamaszkowych kanapach, jedli lody i palili fajki. W bawialni przy długim stole, koło którego tłoczyło się ze dwudziestu graczy, siedział gospodarz i trzymał bank. Był to człowiek blisko sześćdziesięcioletni, o bardzo szacownym wyglądzie; głowę jego okrywała srebrna siwizna; pełna i świeża twarz była obrazem dobroduszości; ciągły uśmiech ożywiały błyszczące oczy. Narumow przedstawił mu Hermana. Czekaliński przyjaźnie uściśnął mu rękę, prosił, by się czuł jak u siebie w domu, i w dalszym ciągu przerzucał karty.

Talia ciągnęła się długo. Na stole leżało już przeszło trzydzieści kart. Czekaliński zatrzymywał się po każdym zrzucie, aby dać grającym czas na decyzję. Zapisywał przegrane, uprzejmie wysłuchiwał życzeń i jeszcze uprzejmiej odginał zbyteczne parole zagięte roztargnioną dłonią. Wreszcie talia się skończyła, Czekaliński przetasował karty i przygotował się do przegrucenia nowej talii.

– Pozwoli pan postawić na kartę – powiedział Herman wysuwając rękę spoza tęgiego pana, który poniterował tuż obok. Czekaliński uśmiechnął się i skłonił w milczeniu na znak pokornej zgody. Narumow ze śmiechem powińszował Hermanowi ukończenia długotrwałego postu i życzył mu szczęśliwego początku.

– Zaczynajmy – rzekł Herman wypisując kredą stawkę nad swoją kartą.

- Ile? – zapytał bankier mrużąc oczy. – Pan wybaczy, nie mogę dostrzec.
- Czterdzieści siedem tysięcy – powiedział Herman.

Na te słowa wszystkie głowy obróciły się nagle i wszystkie oczy skierowały się na Hermana.

„Oszalał” – pomyślał Narumow.

– Pan pozwoli zwrócić sobie uwagę – rzekł Czekaliński ze swym niezmiennym uśmiechem – że gra pan bardzo wysoko: nikt powyżej dwustu siedemdziesięciu pięciu w pojedynczej grze jeszcze tutaj nie stawiał.

– No to co? —odparł Herman. – Biję pan moją kartę czy nie?

Czekaliński skłonił się na znak zgody.

– Chciałbym tylko dodać – powiedział —że zobowiązany upoważnieniem przyjaciół nie mogę grać inaczej, jak tylko na gotówkę. Co do mnie jestem oczywiście przekonany, że starczy pańskiego słowa, ale dla porządku gry i rachunków bardzo proszę o postawienie pieniędzy na kartę.

Herman wyjął z kieszeni czek i podał go Czekalińskiemu, który przelotnie nań spojrzawszy, położył go na karcie Hermana.

Zaczął ciągnąć bank. Na prawo padła dziewiątka, na lewo trójka.

– Wygrała – rzekł Herman pokazując swoją kartę.

Wśród graczy powstał szmer. Czekaliński spochmurniał, lecz uśmiech natychmiast powrócił na jego twarz.

– Czy mogę panu służyć? – zapytał Hermana.

– Proszę uprzejmie.

Czekaliński wyjął z kieszeni kilka banknotów i wypłacił mu natychmiast. Herman wziął swoje pieniądze i odszedł od stołu. Narumow nie mógł przyjść do siebie. Herman wypił szklankę limoniady i ruszył do domu.

Nazajutrz wieczorem znów zjawił się u Czekalińskiego.

Gospodarz trzymał bank. Herman zbliżył się do stołu. Poniterzy natychmiast zrobili mu miejsce. Czekaliński skłonił się uprzejmie.

Herman zaczekał do nowej talii, postawił na kartę, położył na niej swoje czterdzieści siedem tysięcy i wczorajszą wygraną.

Czekaliński zaczął ciągnąć bank. Walet wypadł na prawo, siódemka na lewo.

Herman odkrył siódemkę.

Z ust obecnych wyrwało się zdziwione: „Ach”. Czekaliński zmieszał się wyraźnie. Odliczył dziewięćdziesiąt cztery tysiące i podał Hermanowi. Herman wziął je z zimną krwią i natychmiast się oddalił.

Następnego wieczoru Herman znów zjawił się przy stole gry. Wszyscy go już oczekiwali. Generałowie i tajni radcy porzucili swego wista, żeby zobaczyć tę niezwykłą grę. Młodzi oficerowie zerwali się z kanap. Lokaje zgromadzili się w bawialni. Wszyscy otoczyli Hermana. Reszta graczy nie postawiła na swoje karty wyczekując z niecierpliwością, jak to się skończy. Herman stał przy stole i szykował się do poniterowania, sam jeden przeciwko blademu, lecz wciąż jeszcze uśmiechniętemu Czekalińskiemu. Obaj rozpieczętowali po talii kart. Czekaliński przetasował, Herman przełożył i postawił na swoją kartę przykrywając ją plikiem banknotów. Wyglądało to jak pojedynek. Wokoło panowało głębokie milczenie.

Czekaliński zaczął ciągnąć bank; ręce mu drżały. Na prawo padła dama, na lewo as.

– As wygrał – rzekł Herman i odkrył swoją kartę.

– Pańska dama zabita – odparł uprzejmie Czekaliński.

Herman drgnął: istotnie, zamiast asa leżała przed nim dama pikowa. Nie wierzył własnym oczom. Nie rozumiał, jak mógł się omylić.

Naraz wydało mu się, że dama pikowa zmrużyła oko i uśmiechnęła się do niego. Uderzyło go niezwykle podobieństwo...

– Starucha! – zawołał z przerażeniem. Czekaliński przyciągnął do siebie przegrane banknoty. Herman stał nieruchomo. Gdy odszedł od stołu, podniósł się głośny gwar. „Wspaniale sponiterował!” – mówili gracze. Czekaliński znowu przetasował karty; gra potoczyła się dalej.

## Epilog

Herman dostał pomieszania zmysłów. Przebywa w obuchowskim szpitalu w siedemnastej sali, nie odpowiada na pytania i mamrocze niezwykle szybko: „Trójka, siódemka, as! Trójka, siódemka, dama!...”

Lizawieta Iwanowna wyszła za mąż za bardzo miłego młodzieńca, który zajmuje jakiś tam urząd i posiada niezgorszy majątek: jest to syn byłego rządcy starej hrabiny. Lizawieta ma na wychowaniu ubogą krewniaczkę.

Tomski awansował na rotmistrza i ma się ożenić z księżniczką Poliną.